

Wierzę w misję sztuki

Rozmowa z VINCENTEM LINDONEM, gwiazdą francuskiego kina



– Po Złotej Palmie w Cannes na ubiegłorocznym festiwalu w Wenecji otrzymał pan nagrodę za rolę w „Dwóch braciach”. Wygrał pan w pojedynku z Danielem Craigiem i Adrienem Brodym.

– Film otrzymał dwunastominutową owację na stojąco! Kiedy ogłoszono nagrodę, czułem się jak we śnie, Wenecja po Cannes... Przez cały wieczór unosiłem się nad ziemią, później wszystko powróciło do normy. To chwile ukradzione życiu.

– Grał pan w wielu filmach o charakterze społecznym. To kwestia świadomego wyboru?

– Nie wybieram filmów, po prostu otrzymuję takie czy inne scenariusze. I często gram bardzo różne postacie. Prawdą jest jednak, że międzynarodowe uznanie przyniosły mi role w filmach zaangażowanych, zapewne dlatego, że odpowiadają na ważne pytania. Co oznacza jednak termin „film społeczny”? Wszystkie filmy są społeczne, ponieważ rozgrywają się w określonej rzeczywistości i ponieważ wszystko jest dzisiaj polityczne.

– Zagrał pan również wiele ról ojca. Być ojcem w dzisiejszym świecie wydaje się karkołomnym zadaniem...

– Nie kieruję się żadną kalkulacją, te role mnie poruszają. Podstawowe pytanie brzmi: Jak postępować ze swoimi dziećmi, kiedy wszystkie próby porozumienia spetzają na niczym? Jesteśmy bezradni w walce z mediami społecznymi, grupami towarzyskimi. Można powtarzać bez końca: „posłuchaj mnie”, „znam życie”, „chcę twojego dobra”, ale niczemu to nie służy. Młodość ma to do siebie, że odrzuca doświadczenie. Dopóki ktoś nie padnie ofiarą własnych błędów, nigdy nas nie posłucha.

– Sam jest pan ojcem...

– Nigdy nie mówię o moich dzieciach, poza podaniem ich imion (syn Marcel i córka Suzanne). Zawsze im powtarzałem, że ponieważ posiadają znanych rodziców, największym wyzwaniem będzie dla nich zaistnieć. Moja córka, aktorka i reżyserka, w życiu prywatnym pozostaje wyłącznie moją córką. W życiu zawodowym nosi moje nazwisko, ale jest zupełnie niezależnym bytem.

– Co zainteresowało pana w „Dwóch synach”? Ten film wejdzie wkrótce na polskie ekrany.

– Lubię postacie, które ewoluują, potrafią zakwestionować swój dotychczasowy sposób myślenia. Szukają



Fot. Reynaud Julien/Abaca Press/Forum

prawdy. W „Dwóch braciach” zafascynowało mnie to, że film opowiada jednocześnie dwie historie. Dużą, o wymiarze uniwersalnym, i małą, osobistą. Chodzi o wątek radykalizacji politycznej młodego chłopaka oraz o miłość ojca i synów. Po śmierci żony ojciec nie potrafi porozumieć się z dorastającymi dziećmi. Każdy z nas może poznać smak porażki wychowawczej, każdy popełnia błędy. Ale nawet w ciemności istnieje małe światło, ponieważ nic nie jest ważniejsze od miłości. Nie lubię myśleć o moich bohaterach jako ofiarach. Również i tu ojciec zrozumie, że trzeba zacząć rozmawiać. Rozmawiamy z dziećmi, żoną, mężem...

– Film jest też historią kryzysu życiowego.

– Cierpienie ma wiele twarzy. Każdy reaguje inaczej w konfrontacji z żałobą i śmiercią. Ojciec wybiera technikę uników, to jego próba oswojenia rzeczywistości. Pierwszy syn ucieka w naukę i ambicje zawodowe, drugi czuje się wykluczony. Ten los spotyka wielu młodych ludzi żyjących na prowincji. Globalizacja i kapitalizm przyniosły dużo pozytywnych zmian, ale wyrządziły też poważne szkody. Kiedy tysiące osób znajduje się na bezrobociu, fala zabiera ze sobą także ich rodziny. Co mają zrobić ze sobą młodzi? Jeśli nie posiadają pasji i silnego charakteru, czeka ich pustka. Stają się wtedy idealnym celem dla wszelkich ekstremizmów. Często nie chodzi tu nawet o ideologię, chodzi o poczucie przynależności. Młodzi

ludzie dają sobą manipulować, ponieważ są wściekle samotni.

– W „Dwóch synach” chodzi o skrajną prawicę.

– To prawda, ale mogłaby to być również religia, sekta czy uzależnienie od narkotyków i alkoholu. Często prowadzi do nich rozpacz. Dotyczy to zresztą nie tylko młodzieży, każdy może się zachwiać z powodu braku komunikacji i miłości. To prawda, że skrajne ideologie rosną w siłę, wszyscy ponosimy za to część odpowiedzialności. Indywidualizm i koncentracja na własnej osobie sprawiają, że zapominamy o regułach rządzących dawniej życiem społecznym. Prawie nikt nie wie już, czym była kurtuazja, a co dopiero szacunek i uwaga poświęcona drugiemu człowiekowi! Znika edukacja, wartości i punkty odniesienia. Ale nie jestem defetystą, myślę, że podobnie jak w komputerze, przyjdzie czas na reset karty pamięci. Jak w każdym stuleciu, ludzie muszą dotknąć dna, aby się obudzić. Wciąż wierzę, że wszystko może się zmienić na lepsze.

– Jest pan więc optymistą?

– Uważam, że dysponujemy w życiu określoną siłą powiedzenia „tak” i dotrzymywania obietnic. To pozwala działać. Urodzić dziecko, zbudować dom, pojechać w podróż czy nakręcić film.

– „Dwaj synowie” zostali zrealizowani przez dwie siostry Delphine i Muriel Coulin.

– Prawdę mówiąc, nie przywiązuję do tego uwagi. Delphine i Muriel

są jak jedna osoba. Obie charakteryzuje bardzo ciepłe spojrzenie na swoich bohaterów. Dwie siostry reżyserowały film o dwóch braciach – to nie zdarza się często. Postać, którą gram, przypominała im podobno własnego ojca. Ich film nie daje lekcji, unika społecznych i psychologicznych karykatur. Bracia ewoluują w nim w całkowicie odmienny sposób, ale wciąż bardzo się kochają. Na tym polega cała złożoność życia.

– Wywodzi się pan ze znanej rodziny należącej do francuskiej elity. Pana pradziokowie ze strony ojca pochodzili z Krakowa.

– Mój pradziadek, krakowski jubiler, wyemigrował do Anglii, gdzie ożenił się z siostrą André Citroëna, założyciela fabryki samochodów. Dziadek był prokuratorem generalnym i działaczem politycznym, mój ojciec – przedsiębiorcą. Ze strony mamy rodzina ma przedstawicieli wolnych zawodów, polityków i nawet marszałka. Jako mały chłopiec miałem się więc na kim wzorować. Nie posiadam jednak jakiejś specjalnej admiracji dla mojej własnej osoby. Podziwiam tych, którzy, nie pochodząc z takiej rodziny jak moja, potrafili stać się wzorcami moralnymi wyłącznie dzięki swej wewnętrznej sile. To oni mnie fascynują.

– Czy polskość, w znaczeniu tradycji rodzinnych, w jakimś stopniu pana uformowała?

– Na pewno. Nie wiem, czy można to przypisać polskości, ale w mojej rodzinie królowała zawsze ogromna dyscyplina. Przywiązywano w niej bardzo dużą wagę do zachowania i manier. Wpajało nam, że nie należy podnosić głosu na rodziców, że trzeba mówić „dzień dobry”, „do widzenia”, „dziękuję” i „przepraszam”, i że należy pomagać ludziom. Bardzo zwracano uwagę na innych. To jednak nie moja zasługa. Nie jestem bohaterem – bohater to ktoś ślaby, który broni innej osoby.

– Aktorstwo stało się dla pana sposobem na odmienne zamieszkiwanie świata?

– Mój ojciec zawsze powtarzał: „Jeśli nie zrobisz w życiu czegoś, co może pomóc innym i zmienić w jakiś sposób ich życie, twój pobyt na ziemi nie będzie miał sensu”. Moimi filmami próbuję więc zmienić coś w życiu widzów, choćby ich spojrzenie na rzeczywistość. Wykonuję zawód, który pomaga ludziom, choć oczywiście wyżej stawiam lekarzy i adwokatów. Jeśli po tym filmie chociaż jeden ojciec czy jedna matka na świecie postanowi nawiązać przerwany kontakt słowny ze swoim dzieckiem, moja praca będzie miała sens. Wagę dzieła artystycznego mierzy się dla mnie tym, czy zmieniło ono w jakiś sposób życie choć jednej osoby. Wierzę w misję sztuki, choć przypomina to czerpanie naparstkiem wody z zalewanego wysokimi falami statku. Naparstek nie uczyni cudów, jest jednak lepszy niż nic.

JOANNA ORZECZOWSKA
(Paryż)